Sto pociech i dwieście utrapień

Andrzej Tomaszewski
Warszawa

Streszczenie

Niemal wszyscy pracujemy nad tekstem i przygotowywaniem publikacji do druku. Materiały do obróbki dostajemy z różnych źródeł. Jesteśmy skazani na współpracę z różnymi autorami, redaktorami i decydentami. Czasem są to wspaniali fachowcy, ale częściej osoby nie mające nawet podstawowej wiedzy o technice wydawniczej. W swoim wystąpieniu chciałbym przedstawić typowe trudności i próby ich przezwyciężania.

Coraz rzadziej, zwykle w renomowanych wydawnictwach, można spotkać doświadczonych redaktorów, którzy zdobywali szlify zawodowe w czasach „przedkomputerowych". Dbałość o język, sens i urodę polszczyzny mają we krwi. Odchodzące powoli pokolenie starych książkorobów zna od podszewki zecerskie zasady składania tekstów i niuanse gramatyczne. Ich czujne oko tropi każdy brak ścisłości wypowiedzi i niekonsekwencje zapisu. Bywa, że spotykają się z wyrazami wdzięczności ze strony autorów, którzy w trakcie korekt widzą, jak ich tekst nabiera gładkości i staje się bardziej komunikatywny. Uwaga ta dotyczy oczywiście tylko mądrych autorów. Zdarzają się bowiem niemądrzy – nawet z profesorskimi tytułami – tak opici wodą sodową, że w trakcie przygotowywania publikacji działają przeciwko sobie. Większość redaktorów starszego pokolenia należy do osób, którym podczas pracy zawsze towarzyszy myśl o przyszłym czytelniku, pamiętają o edukacyjnej lub informacyjnej funkcji książki, a swoją pracę traktują niemal jak misję.

Współpraca z nimi jest prawdziwą przyjemnością, choć ma też swoje ciemniejsze strony. Jedną z najważniejszych jest ich nieznajomość narzędzi współczesnej techniki wydawniczej. Nie potrafią posługiwać się prostymi programami do wpisywania i obróbki tekstów. Pokutuje wśród nich błędne mniemanie, że nigdy nie nauczą się z nich korzystać. Bywa też, że są emocjonalnie negatywnie nastawieni do komputera, który jawi się im jako szatańska machina. I wówczas – psychicznie zablokowani – nie przyjmują do wiadomości (lub wręcz nie potrafią wysłuchać) najprostszych wyjaśnień dotyczących konieczności podporządkowania się pewnym obowiązującym dzisiaj rygorom. A oto przykład:

Załóżmy, że przekonaliśmy do pracy na komputerowej klawiaturze osobę, która wcześniej latami pisała na maszynach do pisania. Okazuje się, że pisze szybko i sprawnie, ale nie zdaje sobie sprawy z liczby i rodzaju dostępnych znaków – nie mówiąc już o tym, jak z klawiatury uzyskać potrzebny znak.

Stare maszyny do pisania miały dźwignie czcionkowe o mocno ograniczonej liczbie znaków. W każdym niemal modelu, w miejsce niektórych znaków dawało się przylutować inne, które były potrzebne. I tak często zamiast „1" (jedynki) można było wystukać na klawiaturze minuskułowe „l", albo nawet duże „I"; mając duże „O" rezygnowano z „0" (zera), a w to miejsce dodawano inny znak, np. „+" albo „%". Tym zabiegom sprzyjał charakterystyczny krój pisma maszyn do pisania, w którym niektóre litery miały zbliżoną formę graficzną. Zecerowi składającemu tekst w drukarni (czcionkami, na linotypie, monotypie itp.) wcale nie przeszkadzało to zastępowanie znaków, bo odczytywał je „kontekstowo" i dobrze wiedział, co ma wstawić. Mocno utrwalone podczas pisania na maszynie nawyki, są trudne do zwalczenia i w rezultacie otrzymujemy teksty, w których trzeba później skrupulatnie „ścigać" niektóre litery i cyfry, różnicować kreseczki (dywizy, pauzy, półpauzy, minusy), wyławiać zbędne „entery", likwidować wprowadzone kilkoma spacjami (odstępami) wcięcia akapitowe itp. rzeczy wynikające z techniki pisania na maszynach z dźwigniami czcionkowymi. Dodatkowych czynności, często kłopotliwych i pracochłonnych, można byłoby uniknąć przy większej dyscyplinie autora lub redaktora wpisującego tekst. Jest to ważne, bo składacz grzebiący zbytnio w tekstach, zwiększa szansę powstawania dodatkowych błędów.

Dość łatwo natkniemy się też na inny typ redaktora. Uzyskał on nieco fragmentarycznych wiadomości o wydawniczej pracy na komputerach, a jest przekonany o swojej głębokiej wiedzy na ten temat. Nierzadko jest to redaktor merytorycznie dobry, znający przedmiot książki, inicjujący współpracę z autorem i zbierający do publikacji materiały wydawnicze. Ma jednak ambicje, aby wszystko zarejestrować w formie elektronicznej i... dopóki dotyczy to samych tekstów, to pół biedy. Problem zaczyna się dopiero wówczas, gdy trzeba wyselekcjonować i zgromadzić fotografie, grafiki, wykresy lub inne elementy ilustrowanej książki.

Dysponując biurowym skanerem, zestawem Microsoft Office oraz dostępem do Internetu redaktor próbuje wyręczyć typografa, grafika, operatora DTP, czy też innego specjalistę przygotowującego publikację do druku. Skanuje więc zdjęcia gubiąc półtony, kadruje je nie znając ustawienia na stronicy, ściąga z Internetu nie nadające się pliczki GIF i JPEG, produkuje excelowe wykresy-koszmarki, próbuje niezdarnie kopiować ilustracje z drukowanych materiałów itd, itd. Większość tych materiałów nie nadaje się do reprodukcji i dalszej obróbki, a wszelkie uwagi na ten temat redaktor traktuje jak osobistą zniewagę lub podważanie jego kompetencji.

Bardzo często jednak zwracamy honor redaktorowi, bo jest niewinny jak nowonarodzone niemowlę. On takie materiały dostał od autora. Autor zaś, specjalista i niekwestionowany autorytet w swojej dziedzinie, zbierał materiały do swojej książki kilka lat. Z pomocą znajomych i rodziny sukcesywnie przygotowywał ilustracje rozmaitej jakości i proweniencji, następnie wkleił je do wordowego dokumentu, a „niepotrzebne” oryginalne pliki usunął, aby mu się nie pętały po dysku komputera. Przecież są już w Wordzie!

Kto podejmie się powiedzieć zacnemu autorowi, że to, co z mozołem przygotowywał, nadaje się tylko do wydrukowania skryptu zgrzebnej jakości, a nie książki jego życia?

Przygotowanie materiałów ilustracyjnych jest chyba największym problemem we współpracy z wydawcami i ich redaktorami, a największym z największych powszechna mania JPEG-owania wszystkiego, co się da. Nie pomaga ewangelizacja prowadzona w wydawnictwach przez doświadczonych grafików. Nie pomaga pokazywanie przykładów: bezpowrotnie zniszczonych krawędzi rysunku, plamiastego tła, rozmytych twarzy, przypominających brudny śnieg obłoczków na niebie i podobnych efektów kompresowania grafiki pikselowej. Redaktorzy wydawnictw wiedzą, że TIFFa trzeba zjotpegować – najlepiej tak, aby jak najmniej ważył.

Spotkałem się z takim oto przypadkiem. W pewnym wydawnictwie przygotowywano polskojęzyczną edycję znanej w Europie książki. Od wydawcy zza granicy nadeszły cztery krążki CD z ilustracjami przygotowanymi do druku. Jak i kiedy się stało, że w efekcie powstało z tego 100 MB jotpegów RGB? Nikt się nie przyznał. Tamte krążki, rzecz jasna, diabeł nakrył ogonem. Kiedy odmówiłem robienia książki zapanowało ogólne zdziwienie i przykry niesmak. Przecież tak ładnie obrazki wyglądają na ekranie! A pani dyrektor twierdzi, że mają lepsze kolory, niż w zagranicznej książce! Mąż pani dyrektor powiedział jednak, że jak Tomaszewski nie umie, to on postara się połączyć te ilustracje z tekstem. Sytuacja została więc uratowana.

Przy okazji pracy nad publikacjami pewnej szacownej uczelni mam kontakt z korektorem, który uszlachetnia teksty precyzyjnie stawianymi przecinkami i myślnikami. Tak dobrze zna polszczyznę, że niegdyś wygrał ogólnopolskie dyktando przygotowane bodajże przez Walerego Pisarka i z tej przyczyny chodzi w zasłużonej glorii. Co tu się chłopaka czepiać? A jednak. Wzorem wszystkich ambitnych i sumiennych osób ma zwyczaj myślenia o robocie zawsze i wszędzie. Nawet kiedy zasypia przychodzą mu do głowy coraz lepsze konstrukcje gramatyczne, efektowne retoryczne figury, albo rozwiązanie problemu pisowni obcego słowa. I pędzi wówczas do klawiatury poprawiać i cyzelować tekst, który już od kilku dni jest w moim komputerze i stanowi istotny fragment przygotowywanej do druku i żmudnie rzeźbionej publikacji. Na dzień przed oddaniem roboty z pewnością pojawi się u mnie dyskietka, albo e-mailowo przysłany pliczek wordowy z ulepszonym tekstem i prośbą, aby wymienić.

No i co z takim facetem zrobić? Telefony, e-maile, SMS-y nie pomagały przez trzy lata, aż w końcu trafiłem go na jakiejś konferencji. Wieczorem, przy pilznerze, dobitnie i obrazowo tłumaczyłem mu w czym rzecz. Rano poprzysiągł mi nad jajecznicą (z cebulką), że będzie poprawiał już tylko na papierze. Na odbitkach korektowych, które – jak pan Bóg przykazał – mają krążyć pomiędzy redaktorami a składaczami.

To na razie tyle.

Zastrzega się, że wszelkie podobieństwo osób i sytuacji opisanych do osób i sytuacji rzeczywistych jest przypadkowe. Autor nie odpowiada za skojarzenia i złudzenia czytającego.